

## **Pahiatua-szansa na życie**

**„To historia dużej grupy dzieci pozbawionych domu, które przerzucane były z kraju do kraju,(...) Potem nagle się to zmieniło, gdy dotarliśmy do Pahiatua.”**

Jedno z dzieci z Pahiatua po 70 latach

*Na lekcjach historii często słyszałam o sowieckich zsyłkach, których ofiarą padali Polacy, stanowiący (według władz ZSRR) zagrożenie dla komunistycznych rządów. Wiedziałam, że życie tam nie było proste: głodowe racje żywności, mieszkanie w ziemiankach lub nędznych barakach, praca ponad ludzkie możliwości... Moja ciekawość nigdy jednak nie była na tyle silna, by poszukać na ten temat więcej informacji. Dopiero idea konkursu skłoniła mnie do zagłębienia się w to zagadnienie. Dzieci z Pahiatua to poruszająca historia o garści ludzi, którzy po tragicznych losach na Wschodzie, trafili do miejsca pełnego miłości, ciepła i nadziei.*

*W głąb ZSSR zesłano w sumie około 1,5 miliona obywateli polskich. Choć wydawać się może, że każda sytuacja zesańca była wyjątkowa personalnie, po zapoznaniu się z licznymi historiami tych ludzi możemy zaobserwować pewien powtarzający się schemat. Sowietci rabowali, co się dało i zdawało się, że są w stanie przewidzieć każdy ruch przerażonych mieszkańców. Dzieci i żony mężczyzn – prawdziwych lub domniemanych „wrogów ludu” i sowieckiej władzy- nie mogły spać spokojnie. Wrogie pukanie do drzwi rozbrzmiewało w nocy, by okupanci byli pewni, że zastaną w domu całą rodzinę. Gdy enkawudziści wtargnęli do mieszkania, poganiali domowników każąc im się pakować i wychodzić. Niektórzy podejrzewali, jaki jest powód nocnego najścia, inni ślepo wierzyli oficerom zapewniającym, że przenoszą rodzinę do bezpiecznego miejsca, ponieważ w obecnym domu z różnych powodów rodzina nie mogła dalej przebywać. Czasami sowieccy intruzi okazywali litość, pomagając się spakować lub przedłużając czas na tę czynność, a czasami wręcz przeciwnie- skracali go używając przemocy.*

*Podróż była zalążkiem koszmaru, który miał dopiero się rozpocząć. Środkiem transportu okazywał się zawsze pociąg z bydłęcymi wagonami, w których ludzie, tłocząc się, nie znajdowali miejsca, by usiąść, a co dopiero położyć się. Za toaletę służyła dziura w podłodze, niczym nie osłonięta. Podróż przebiegała w głodzie i nieprzyjemnym zapachu unoszącym się z wagonów pełnych po brzegi ludzi, którzy każdą dostępną kroplę wody wypijali i nawet nikt nie myślał o kąpeli. Zapasami, które trzymane „po kieszeniach” udało im się zgromadzić, dzielili się z towarzyszymi niedoli. Niekiedy oficer pozwalał jednemu przedstawicielowi wagonu wyjść i przynieść „zapas” wody lub jakiś „rarytas”, na przykład odrobinę kaszy. Niektórzy śmiałkowicie podczas postojów, niepostrzeżenie wyskakiwali z wagonów, by – na przykład - zerwać główkę kapusty z zaśnieżonego pola . Nie wszyscy zdążyli na powrót „złapać” transport i zostawali sami na obcym odludziu.*

*Po dwóch – trzech tygodniach podróży od pociągu odłączały się kolejne wagony. Tu los skazańców się rozdzielał. Niektórzy pracowali przy wyrębie lasów, inni w kopalniach, a jeszcze inni w tartakach. Łączyło ich jedno. Wszystko - praca ponad ludzkie siły za głodowe racje żywności. Obiecane wspaniałe warunki ustąpiły miejsca pojedynczej izbie na całą rodzinę przewianej wiatrem lub ziemiance własnoręcznie wykonanej przez zesańców. Do pracy musieli chodzić wszyscy dorośli, a zwolnienia zdrowotne były widziane niechętnie i musiały być zatwierdzone przez obozowego lekarza. Ludzie, przymuszeni głodem, zamieniali swoje ubrania na dodatkowe racje jedzenia. Polskie dzieci często były zmuszane- na przekór rodzicom- do uczęszczania do rosyjskich szkół, w których - oprócz podstawowych przedmiotów - próbowano wychowywać je w duchu komunizmu i uwielbienia dla Stalina. Pośród łagierników rozpowszechniały się też liczne choroby zakaźne, ponieważ opieka medyczna była na ogół nieosiągalna. „Nieludzka ziemia” ustatana była mogiłami polskich zesańców...*

*Od połowy 1941 r. Polacy zostali objęci tzw. „ amnestią”, na mocy której byli zwalniani z przymusowej pracy w obozach. Była ona skutkiem zawarcia układu polsko-sowieckiego. Jednym z pierwszych przejawów pomocy było dostarczenie przez Amerykanów ubrań, żywności oraz leków, które miały zapobiec dalszemu rozpowszechnianiu się epidemii tyfusu, odry i szkarlatyny. W późniejszych miesiącach stopniowo wywożono ostatecznych przy życiu Polaków do*

*Iranu, którzy stamtąd zaczęli rozjeżdżać się po świecie. Powrót do Polski w czasie wojny był niemożliwy, dlatego tak ważne było znalezienie bezpiecznego miejsca dla polskich sierot, których po doświadczeniach łagrów było bardzo wiele.*

*Wycieńczone dzieci po traumatycznych przejściach w Iranie powoli wracały do zdrowia. Karmiono według specjalnej diety, by mogły nabrać sił. Dziewczynki i chłopcy mieszkali w innych częściach miasta, a ośrodki pobytu sierot były podzielone na zakłady. Życie w Iranie toczyło się spokojnie, dzieci mogły uczęszczać na nabożeństwa, działać w harcerstwie, uczyć się angielskiego. Spędziły w tym kraju prawie trzy lata, ale na dłuższą metę utrzymywanie tak dużej liczby uchodźców było dla tego państwa zbyt trudne. Potem więc były rozwożone po różnych krajach na różnych kontynentach. Uważano, by nie rozdzielać rodzeństwa, choć nie zawsze było to możliwe.*

*Dzięki uprzejmości premiera Nowej Zelandii Petera Frasera do kraju zostało przyjętych 733 polskich dzieci wraz z 105 opiekunami. W czasie drogi do Nowej Zelandii i tuż po przybyciu do portu w Wellington, żołnierze z tego kraju, obdarzali ciepłymi uczuciami polskie sieroty, obdarowując je przy tym słodyczami. Mali wygnańcy zostali przyjęci w obcym, dalekim kraju bardzo serdecznie. Jego obywatele, wymachując polskimi i nowozelandzkimi flagami pokazali swoją otwartość, wrażliwość i chrześcijańskie miłosierdzie. Ironią losu był fakt, że część podróży polskie dzieci odbyły pociągiem. Jakże inny to był pociąg od tego deportacyjnego... Ten ostatni wiozł je do nowego domu i nowego życia .*

*Obóz w Pahiatua był oazą spokoju, beztroski i dostatku w porównaniu do życia na „niehumanitarnej ziemi”. Oczywiście, początkowe podenerwowanie ze strony zarówno dzieci jak i nowozelandzkich nauczycieli było wręcz naturalne. Sieroty po straszliwych doświadczeniach z początku były trochę nieufne, a bariera językowa utrudniała porozumienie z miejscowymi. Jednak z czasem pogłębiały się wzajemne więzi, a wychowankowie obozu wspominają go bardzo pozytywnie.*

*Obóz od dawna już nie istnieje. Pozostały czułe, pełne sentymentu wspomnienia osób już w podeszłym wieku, które spędziły tam część swojej młodości. Różnie potoczyły się losy polskich sierot. Nieliczne wróciły do*

*utęsknionej ojczyzny, bo – niestety – rządziła nią komuniści, z nadania tych, którzy rozpętali deportacyjne piekło. Inne, pozostając w Nowej Zelandii, pielęgnowały polskie tradycje w zielonym kraju. Kraju, który tak naprawdę stał się od dnia przyjazdu ich drugim domem.*

*W 70. rocznicę przybycia polskich dzieci do Pahiatua około 200 osób polskiego pochodzenia ruszyło na miejsce dawnego ośrodka, by uczestniczyć w nabożeństwie, śpiewać polskie pieśni i spotkać się z dawnymi towarzyszami tułaczki. Natomiast w porcie Wellington stoi pomnik „Dzieci z Pahiatua” ufundowany w 2004 r. Umieszczona na nim tablica pamiątkowa jest wyrazem wdzięczności wszystkim, którzy wyciągnęli pomocną dłoń i dali dzieciom szansę na nowe życie.*

*Szukając informacji do tej pracy, pytałam różnych ludzi z mojego najbliższego otoczenia o to, co wiedzą na temat młodych polskich uchodźców sprzed lat. Ani moi rówieśnicy, ani dorośli nie wiedzieli na ten temat nic. Przeróżające jest to, jak powoli wykluczamy niektóre wątki z naszej historii. Dlatego uważam, że o dzieciach z Pahiatua i tych małych tułaczach, którzy trafili do innych zakątków świata, nie jest wystarczająco głośno. Cała nadzieja w rękach naszego pokolenia. Pamiętajmy i mówmy o naszych rodakach, ich skomplikowanych losach, ale i o tych, którzy potrafili wykazać się prawdziwie ludzką postawą i przyjąć obce, ale potrzebujące pomocy dzieci.*

*Gabriela Jastrzęb*

*kl. II c gimnazjalna*

*SP nr 2 w Miechowie*